Należytość pocztową opłacono gotówką.

Murzynek



Nakładem
Sodalicji św. Piotra Klawera
dla misyj afrykańskich.

Rok XIV. Sierpień 1926. Nr. 8.



Przedstawiciele ochronki w Misji Emmaus.

Hadjila, mała sierotka berberyjska.

Mała Hadjila (kuropatwa), widząc pewnego dnia w swej wiosce Siostry Białe, pielęgnujące chorych, czuje się do nich dziwnie pociągniętą. Przybiega z ufnością, ogląda ciekawie różaniec zwieszający się u pasa, dopytuje o znaczenie krzyżyka... Po otrzymanem objaśnieniu całuje go z uczuciem.

Spostrzega to żona brata Hadjili, łaje ją ostro, a nawet uderza.

Zakonnice zjawiają się we wsi po raz drugi. Mała Hadjila nie odstępuje ich ani na krok. »Nie chciałabyś pójść z nami, zamieszkać u nas?« pyta ją jedna z Sióstr. »O, jak bardzobym chciała«, odpowiada żywo dziewczynka. I znowu szwagierka wygraża sierocie.

Niedługo potem Hadjila, bita okrutniej niż zwykle, opuszcza pokryjomu dom brata wraz z młod-

15 VI 26. 16.160.

szą swą siostrzyczką, skierowując się ku wiosce plemienia Beni-Ismailów, gdzie, jak się wywiedziała, mieszkają Białe Siostry.

Ale droga daleka, ośm godzin iść trzeba, Hadjila nie wie dokładnie którędy... Pobłądziły maleństwa... co tu począć?

Spotykają wreszcie starą nieznajomą kobietę i proszą, by je przez litość zaprowadziła do Sióstr. Staruszka wzdraga się z początku... nie idzie sama w tę stronę... Zaklina ją Hadjila, wreszcie zdejmuje swe zausznice i ofiarowuje kobiecie jako zapłatę za oddanie przysługi. Przystaje na taką cenę kobieta, idą razem do misji.

Siostry przyjmują obie sierotki z otwartemi rękoma. Szczęście Hadjili nie zna granic. Od pierwszego zaraz dnia okazuje dziewczynka wiarę gorącą i żywą; wspaniałomyślne jej i ofiarne serduszko wychodzi zwycięsko z każdej próby, z każdego doświadczenia.

Pewnego dnia, zmęczona zajęciem, wchodzi na chwilkę do kaplicy z jedną ze swych małych współtowarzyszek. W kaplicy niema prócz nich nikogo. Co robi mała Hadjila? Prędziutko zbliża się do ołtarza, przysuwa stołeczek i wspiąwszy się na nim, puka do drzwiczek tabernakulum. »Panie Jezu, proszę Cię spraw, żeby mi jak najprędzej dano chrzest święty«.

»Czekałam na odpowiedź Jezusa, przyznała się później dziewczynka, gdy szmer na korytarzu spłoszył mię. Zląkłszy się, by mnie która z Sióstr nie złapała na gorącym uczynku, zeszłam czemprędzej ze stołka i uklękłam skromnie w ławce«.

Siostra, która rzeczywiście wstąpiła w tym czasie na chwilę do kaplicy, myślała, że obie dziewczynki przyszły pomodlić się trochę. Rzecz cała wydała się znacznie później i to z następującej przyczyny.

Było czterdziestogodzinne nabożeństwo. Zakonnica tłomaczyła sierotkom obowiązek każdego dobrego chrześcijanina zadosyćuczynienia Panu Jezusowi za zniewagi, jakich doznaje od bezbożnych w Najświętszym Sakramencie. W delikatnem sumieniu małej Hadjili powstała więc obawa, czy postępowanie jej wówczas było właściwe, czy nie było zniewagą jej śmiałe zbliżenie się do ołtarza, dotknięcie drzwiczek tabernakulum. I by się ukarać za to, co jej się wydawało ciężkiem uchybieniem, potępienia godnym brakiem czci i uszanowania dla Bożego Majestatu, mężna dzieweczka skazała się bez litości na biczowanie pokrzywami.

Czyż nie zawstydza naszej miękkości ten hart ducha sierotki berberyjskiej? O zaprawdę można o niej powiedzieć »In sexu fragili, corda virilia«.

(»Missions d'Afrique des Pères Blancs«.)



Modlitwa Maryni.

Przyszła dziecina raz do kościoła,
Klękła i szepce coś po cichutku,
Aby nie słyszał nikt dookoła!

Mamusia wczoraj mi powiadała
O tych pogańskich biednych murzynkach.
O jakżem bardzo ich żałowała!
I nocą mi się murzynki śniły:
Szły długim rzędem, rzewnie płakały,
Nisko ku ziemi główki chyliły...
Więc się ich pytam, dlaczego płaczą?
A one chórem smutnie się żalą,
Że Nieba, Boga, ach, nie zobaczą!...
Czemu to — pytam — Bóg kocha dzieci?!
»My nie trafimy jednak do nieba,
Bo w drodze łaska Chrztu nam nie świeci«.
I szły tak dalej biedne murzynki,
Pomocy, modlitw się domagały —
Ode mnie, takiej małej dziewczynki...
»Za te murzynki, co są na świecie,
Aby chrzest święty im też był dany,
Módl się gorąco i często dziecię«.
Więc przyszłam tutaj dziś, Jezu Panie,
Bo wiem, żeś dobry i żeś łaskawy,
Że przyjmiesz moje modlitwy za nie.
O spraw, niech Ciebie one poznają,
Wiedzą, żeś cierpiał za nas tak srodze,
I niech Cię bardzo, bardzo kochają!
Mama mi często cukierki daje,
Smaczne ciasteczka, ładne sukienki,
A im wszystkiego tam nie dostaje..
Mamusię zaraz dzisiaj poproszę,
Bym zaoszczędzić z tego coś mogła —
Tak — dla murzynków będę mieć grosze.
Tylko Cię jeszcze błagam, mój Panie,
Daj sen podobny dziecku każdemu,
A będą wszystkie modlić się za nie.
I wyprosimy u Serca Twego
Zastęp kapłanów dla tej Afryki,
Która tak łaknie Słowa Bożego.

Wycieczka szkolna w stęp Ofuka.

Przez Wieleb. Ojca Ottona Fuhrmanna.

(Dokończenie.)

Dobiliśmy wreszcie do celu, do stóp szczytów niebieskich.

»Dzieci, teraz rozbijamy obóz, zabieramy się do gotowania! Szukajcie chróstu!«

Nie potrzeba było tego dwa razy powtarzać. W okamgnieniu rozbiegło się wszystko na wsze strony. Z takim zapałem znosili gałęzie, że śmiało możnaby wołu upiec przy takiem ognisku.

Po przydźwiganiu kamieni, ustawiono garnki z mięsiwem. Karolina smażyła pieczeń wołową, Marja przyprawiała mączną narodową potrawę, tak zwane »orifima«.

Reszta tymczasem bawiła się wesoło: były wyścigi w workach, skakanie, kto dalej, kto wyżej, zwycięzcy otrzymywali w nagrodę »karmelek«. Ale nie było jeszcze pełni radości. Oczy malców zwracały się uporczywie a tęsknie do dymiących na ogniu garnków.

Bogu dzięki, — otóż i obiad gotów, do stołu nakryte! Rozłożono na ziemi »obrus«, duży worek! Wysypano nań mączny przysmak. Zmówiliśmy wspólnie modlitwę przed jedzeniem, rozkładając się potem wokoło naszego arcyprostego »stołu«. Każdy otrzymał kawałek mięsa i rozpoczęło się używanie. Mali czarni wycieczkowicze zabrali się ochoczo do dzieła, jedni uzbrojeni w łyżkę drewnianą, inni w płaską kość tylko, jeszcze inni, a ci przeważali, w pięć palcy!

Ojciec Misjonarz w pośrodku wesołego grona!

Oj, smakowało malcom po takim długim marszu, smakowało! To też prędko malała góra z mącznej papki, topniała jak śnieg pod silnemi pro-

mieniami słońca, nikła — aż został tylko czysty obrus, worek!

A byłbym się prawie był założył na początku obiadu, że conajmniej połowa zostanie, że uraczą się nią czworonożni mieszkańcy stepu. Nie znałem jeszcze dostatecznie wysokiego stopnia uzdolnienia żołądków mych czarnych wychowanków.

»Najadłyście się do syta, dzieci?«

»J, J (tak, tak), Ojcze«, wołały ze śmiechem.

»Doskonale, teraz jeszcze łyk wody, — a potem wyciągnijcie się w cieniu drzew na zasłużony wypoczynek!«

I ja wyszukałem sobie wraz z Faustynem, nauczycielem, cienisty zakątek. Ale sen nie zjawiał się jakoś, gawędziliśmy więc we dwójkę. Murzyn mówił mi o swych czarnych współziomkach, o ich radościach i smutkach, nadziejach i tęsknotach. A ja opowiadałem mu wzamian o mojej dalekiej, drogiej Ojczyźnie.

Trzeba było jednak wkońcu pomyśleć o powrocie. Pobudziliśmy małych śpiochów. Przecierali w zdumieniu czarne oczęta, nie wiedząc w pierwszej chwili, gdzie są i czego od nich chcemy. Wydobyty z kieszeni woreczek z cukrem przywrócił im jednak wkrótce przytomność, a mały Piotruś zagrzmiał nowem silnem Alleluja.

»Bądźcie zdrowe, lazurowe szczyty!« — i w prawo zwrot, ruszyliśmy szparko do Tsumeb, do miasteczka rudy miedzianej.

I znowu rozeszły się szeroko po układającej się zwolna na spoczynek naturze, to wesołe, to smutne pieśni kościelne, rozbrzmiała chwała Marji, Niebios Królowej. Zdało mi się, jakoby ten rozległy step afrykański wstrzymał na chwilę oddech i zasłuchał się cały w poważnem skupieniu w te głosy dziecięce, wielbiące Stwórcę i Pana wszech-

rzeczy. Zawtórowały im potem przydrożne świerszcze, koniki polne, zapóźnione pszczoły i trzmiele, ćwierkając i brzęcząc chwałę Bogu na wysokościach.

Tarcz słoneczna chyliła się właśnie poza błękitne szczyty, gdy dochodziliśmy szczęśliwie do pierwszych zabudowań miasteczka. Chciałem zaraz rozpuścić dziatwę, ale odprowadziła mnie gremjalnie do misji. Weszliśmy więc razem do kościółka, oddając pokłon i podziękowanie ukrytemu w tabernakulum Boskiemu Przyjacielowi maluczkich, pozdrawiając raz jeszcze Jego Matkę Niepokalaną. »Tu ruvera, ove, Maria Mama«.

Rozdałem ostatnie karmelki. »Dobranoc, dzieci! A stawcie się tylko jutro na czas w szkole!«

»J, J, Ojcze! Dobranoc, dobranoc!«

Długo jeszcze bawiła się dziatwa na podwórku misyjnem pod oknem mego pokoju, opowiadając nieznużenie o cudach Ofuki i o nowym Ojcu, »który chociaż patrzy surowo, ale ma dobre, bardzo dobre serce«.

O wy drogie moje czarne, dzikie dzieciaki! Niedługo już, a będę musiał was opuścić i iść dalej w czysto pogański kraj, w kraj Owambów. Lecz gdy będziecie znów kiedy śpiewać Wielkanocną pieśń triumfu, lub przy Żłóbku rzewną kolendę, wspomnijcie wtedy, proszę, i o mnie choć na chwilę przed Boskim Zbawicielem.

A jeszcze więcej czułbym się szczęśliwym, gdyby i dzieci białe, dużo białych dzieci, połączyło się z czarną gromadką w modlitwie serdecznej za tego Ojca w Afryce, »który choć surowego wejrzenia, ale ma dobre serce« i za jego nową misję w kraju Owambów.

Murzynek, który nie zna lęku!

Przez Wieleb. O. Anézo, M. L. — Togo francuskie.

Zdarzyło się to w Agu, u Ojca Bedel'a... Boć jest on jednym z tych, którzy bać się nie umieją, a kto w jego wzrasta szkole także nie drży nigdy. Mistrz bowiem nietylko że potrafi przepędzić djabła na cztery jak to mówią wiatry, ale dzięki Herkulesowej sile, w jaką wyposażyła go Opatrzność, powaliłby z łatwością na ziemię czterech, ba i pięciu nawet czarowników.

Otóż jeden z wychowanków Ojca Bedel'a (a jest ich w Misji liczna gromadka) miał otrzymać Chrzest święty. Królik miasta jednak i wszyscy czarownicy założyli silne »veto« i pospieszyli do misjonarza.

»Dziecko to, oświadczają, należy do fetyszy, ono żadną miarą nie może, nie powinno przystąpić do twego sakramentu«...

Oburzony kapłan staje w całej pełni swej ogromnej postaci przed owymi poganami, krzyżuje na szerokiej piersi silne ramiona, zatapia przenikliwe błyszczące oczy w ich oczach niepewnych zamglonych... To wystarcza... Przezorność nakazuje wycofać się z honorem, wykonują więc cni czarodzieje »całkiem zwrot«... jak tylko potrafią najprędzej.

Nazajutrz jednak udaje im się schwytać chłopca, chcą go okuć w kajdany i poprowadzić przed sąd krajowy, któremu przewodniczy sam król. Chłopak obrzuca katów, starających się uprowadzić go siłą, spojrzeniem śmiałem, spokojnem i powiada:

»Nie krępujcie mnie!... Pójdę sam z wami do króla...«

I idzie tuż obok nich swobodnie, bez trwogi... Przychodzą... Mały katechumen stawia mężnie czoło burzy; w obliczu gromady, otaczającej go zwartem kołem, oglądającej ciekawie, drwiąco, zarzucającej

gradem szyderstw i obelg, stoi cichy, niewzruszony. Bo czyż Pan Jezus nie zostawił mu przykładu, czyż nie tak czynił u Piłata, gdy tłum zajadły wołał: »Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go!?«

Król i jego rada przyboczna, słudzy fetyszów — czarodzieje zaklinają go, błagają, by się nie sprzeniewierzał wierzeniom ojców, by zaniechał chrztu »białych«. Ale on jakby nie słyszał rozkazów, nalegań, obietnic... Uciekają się do gróźb. Malec się uśmiecha... Wobec setek par oczu wlepionych w niego, by go onieśmielić, zbić z tropu, wobec chytrych uśmiechów, słów obraźliwych i gniewnych dziecię to trwa niezmięszane, wyznaje wiarę w Jezusa Chrystusa, stara się wykazać bezsilność fetyszy i zgubną rolę czarowników. Dodaje wkońcu, że za dni kilka woda święta, odradzająca woda Chrztu świętego spłynie mu na czoło, że przez to, odrzekając się uroczyście i na zawsze szatana i fetyszów, spraw jego, stanie się dziecięciem Bożem...

Potem, poprostu, jakby nic nie zaszło, w oczach tłumu złowrogiego, odchodzi, pełen świętej godności i dumy... zwycięzca...

Oto, co tutaj sprawia dzieło św. Piotra Klawera, wykupuje dziatwę murzyńską, wydobywa ją z błota fetyszyzmu, by oddać na własność Bogu!...

Złote ziarnka.

Niczego nie szukaj żarliwiej tu na ziemi, jak tego, czego szukał sam Pan Jezus, a mianowicie dusze uświęcać, dla nich pracować, a nawet umrzeć.

(Św. Piotr Klawer.)

U kowala.

Przez O. Biegner'a, misjonarza z Mariannhill.

Wstąpmy dziś razem do przydrożnej kuźni i rozejrzyjmy się po niej troszeczkę... Ileż tu rozmaitych



Brat Benno w kuźni w Kilomeni.

narzędzi, a wszystkie potrzebne kowalowi przy wykonywaniu twardego rzemiosła! Ot, cały szereg młotów — od największych do maleńkich delikatnych mło-

teczków... Kawał żelaza, trzymany za pomocą długich szczypiec, rozpala się właśnie do czerwoności w ognisku... Wnet na kowadle nadadzą mu formę odpowiednią uderzenia ciężkich młotów, które podziwialiśmy co dopiero. A zauważyliście ogromny miech kowalski? Porusza go czeladnik. Rozdmuchuje on swym potężnym oddechem ognisko, bez którego praca w kuźni obyć się nie może. Koniecznym materjałem zaś to żelazo. Wymieńmy choć kilka najprostszych przedmiotów, które z tego tak pożytecznego metalu powstają na kowadle: gwoździe, podkowy, osie i obręcze do kół i t. p. i t. p.

A murzyni czy mają kuźnie?... Dawnemi czasy rozporządzali Kafrowie bardzo ograniczoną liczbą narzędzi żelaznych, wyrabianych przez nich samych, stosownie do potrzeby. Dla zmięszania żelaza z drobnym żwirem rzucali wszystko w szczelinę skalną, przykrywając jej otwór węglem drzewnym. Poczem podpalali węgiel, by żar roztopił znajdujące się pod niem żelazo. Do podniecania ognia mieli coś w rodzaju miecha ze skóry. Płynne żelazo wraz z żwirem wlewali do form przygotowanych, a po ostudzeniu nadawali mu twardość i moc, czyli jak się to mówi »kwasili żelazo« uderzeniami kamienia w braku młota, na drugim kamieniu, zastępującym kowadło.

Tym sposobem wyrabiali sobie narzędzia do codziennego użytku, jak lance, siekiery i wiele innych. Dziś jeszcze można napotkać w starych szałasach kaferskich owe dawne okazy murzyńskiej sztuki kowalskiej i przyznać należy, że są nieraz wcale udatne. W praktyce jednak zarzucono już obecnie zupełnie stare proste sposoby przodków, a niebawem zaginie o nich nawet i wspomnienie.

Historja kocia.

(Dokończenie.)

W drodze z kościoła przechodziliśmy zwykle wzdłuż niezbyt wysokiego muru. Przy wyjściu z świątyni wyprzedzała nas Muzungu i sadowiła się na onym murze. Nas przepuszczała w spokoju; gdy ją jednak mijały dzieci, to buch! próbowała pazurów na ich ramionach. Weszło to w stały zwyczaj, tak, że urządzano prawdziwe wyścigi, by ujść tej kociej napaści. Muzungu podobało się to niezmiernie. Później wynalazła sobie jeszcze coś innego. Dostaliśmy w podarku dwa psy, europejskiej rasy, na stróżów podwórzowych; tutejsze bowiem są do niczego, nawet szczekać nie potrafią, są nieme. Miro i Biana młode jeszcze były i mocno głupie. Większy Miro, dwa razy tak duży jak Muzungu, miał również swoją słabostkę. Wypadał, ujadając na malców wracających ze szkoły, szczególnie na tych biedniejszych, jakim takim łachmanem okrytych. Niech-no tylko ukazali się na placu, gonił za nimi, chwytał jednego i drugiego za przepaskę wkoło bioder i przewracał na ziemię. Malec darł się w niebogłosy, a Miro uradowany do najwyższego stopnia wrzaskiem ofiary, wracał dumny i szczęśliwy na swoje miejsce. Czekała go jednak kara. Muzungu widziała wszystko, gotowa do napaści, czaiła się na murku. Nie przeczuwającemu nic złego psu wymierzała tęgi, bolesny policzek. Skowycząc, skulił mały psotnik ogon pod siebie i zmykał jak niepyszny.

Wkońcu miał jednak i naszą Muzungu dosięgnąć nieubłagany los. Nieocenione jej usługi, oddane całej okolicy, poszły z czasem w niepamięć). Szczury stały się rzadkością i nie dokuczały więcej nikomu. Nowa nasza kucharka, niezmiernie oszczędna, skasowała smaczne kąski, oraz mleko, do których kotka była przyzwyczajona. Zaniedbana zupełnie, mogła

w wolnych swych chwilach słusznie z goryczą rozmyślać o ludzkiej niewdzięczności! Jej przyrodzony instynkt pchał ją jednak z siłą nieprzepartą do tego, by sobie samej zdobyć to, czego jej odmawiano. A nie było to trudne. Ubogie urządzenie naszego mieszkania nie znało szaf lub pudeł na przechowywanie rzeczy jadalnych. Zastępowały nam je półki trzcinowe, na których stawialiśmy pozostałe resztki.

Miała więc Muzungu bardzo wygodnie, jeden skok i mogła się dowoli obsłużyć sama. Z mlekiem radziła sobie w ten sposób, że wylewała zawartość garnka na stół i wylizywała je do ostatniej kropelki. Dbała więc o siebie doskonale. Odkryła jednak wnet złodzieja kucharka, nakrywała odtąd szczelnie wszelkie miski i miseczki. Nie obliczyła się jednak z chytrością kotki. Nie mogąc podnieść pokrywek, zrzucała Muzungu najspokojniej naczynia na ziemię i wśród skorup raczyła się do syta. Wędrowała potem do stacji misyjnej, gdzie znała wszelkie zakamarki z dawnych polowań na szczury. Czekał tam na nią deser w postaci małych apetycznych serków. Nienasycona szła dalej do krajowców na rabunek, gdzie ją pewnego razu schwytano i zabito. Biedna Muzungu! — Koniec historji jednak ten, że szczury, nie trzymane więcej w szrankach, wzrastały znów bezpiecznie i rozmnożyły się jak dawniej.

Afryka.

Wody afrykańskie.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli Nil jest pierwszym co do długości, ustąpić musi rzece Kongo co do bogactwa wód. Kongo bierze początek w tych samych okolicach Afryki co i Nil. Składa się on właściwie z dwóch rzek: Lualaby, która przepływa przez wielkie jezioro Bangweolo i przyjmuje wody jeziora Tanganiki, wprowadzane przez rzekę Lukugem i z Konga właściwego. Kongo jest to wielka rzeka, wygięta łukowato i wijąca się w pobliżu równika. Płynie ona w środkowej kotlinie, wraz ze swojemi licznemi dopływami, w krainie gdzie padają bardzo obfite deszcze podrównikowe i gdzie rosną nieprzejrzane lasy, zamieszkałe przez wojowniczych i oddających się ludożerstwu murzynów, którzy ze Stanlejem staczali uparte i krwawe boje.

Stanlej odkrył rzekę Kongo i dążąc jej szlakiem, pierwszy przebył ląd afrykański wpoprzek, nie bacząc na grożące mu zewsząd niebezpieczeństwa.

Kongo podobnie jak Nil, mógłby stanowić doskonałą drogę od wybrzeża do środka Afryki, gdyby nie to, że i na nim znajdują się liczne i bardzo wysokie wodospady, które czynią żeglugę niemożliwą. Trzeba było dopiero przeprowadzić parowe statki powyżej wodospadów Liwingstona, znajdujących się bliżej ujścia, żeby otworzyć żeglugę na potężnym strumieniu.

Na samym równiku, powyżej, znajdują się jeszcze inne wodospady, noszące nazwę »Stanlejowskich« na pamiątkę odkrywcy. Dziś kolej żelazna omija wodospady i Kongo stał się ważną drogą handlową. Powstały też nad nim liczne osady europejskie.

Dolina rzeki Kongo, zarówno jak doliny jej dopływów, są niezmiernie wilgotne, duszne i zarosłe nieprzebytemi puszczami. Tylko w miejscach, gdzie kraj się podnosi, rosną nadzwyczaj bujne trawy.

Długość Lualaby-Konga wynosi 4640 klm. Jak wiele wody wlewa ta rzeka do oceanu Atlantyckiego, powiedzą nam następujące liczby i porównania: Otóż Nil przynosi morzu w ciągu jednej sekundy, i to tylko podczas wylewu, zaledwie 20 tys. metrów sześciennych wody; Kongo zaś w takim samym krótkim czasie, przynosi w daninie oceanowi aż 50 tys. metrów sześciennych wody, t. j. dwa i pół raza więcej. Przy ujściu do oceanu, ma Kongo 2 i pół kilometra szerokości, głębokość jego zaś dosięga miejscami 400 metrów, co na rzekę jest niesłychanie dużo.

Podziękowanie.

W. S. z W. składa publiczne podziękowanie za pomoc w naukach otrzymaną za pośrednictwem ś. p. M. T. Ledóchowskiej. Łączy 5 złp. na »Chleb św. Antoniego«.

Kto dotąd jeszcze nie opłacił prenumeraty za rok 1926, zechce to uczynić — z miłości dla Misyj afrykańskich — w jak najprędszym czasie.

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 7.

1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	10.	11.	12.	13.	14.
B	N	R	M	R	O	**A**	**W**	O	O	K	S	O	**I**
A	**O**	O	A	O	**Ł**	R	I	**W**	S	U	A	**K**	G
K	R	**L**	N	**S**	Ó	K	N	C	**I**	L	**L**	O	Ł
U	A	A	**E**	A	W	A	O	A	E	**E**	A	Ń	A

Rozwiązanie łamigłówki

z Nru 5 nadesłali:

Feliks Daszkowski, Zosia Dzidkowska z Łodzi i Ludwik Figura.

Odpust zupełny,

którego pod zwykłemi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji Klawerjańskiej, a więc i członkowie »Ligi dzieci dla Afryki« dnia 24 sierpnia, w dzień św. Bartłomieja Apostoła.

Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito czcionkami drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarz. L. Wójcika.